

Mysliwskie szczescie

Podczas polowan na wilki, rysie i inna gruba zwierzynie zdarzaja sie czasem sytuacje zaskakujace. Dochodzi do nieprawdopodobnych spotkan. Niejednokrotnie dlugie przygotowania, tropienie, czaty czy zasiadki nie przynosza takich wynikow jak wlasnie przypadek lub – mówiac jezykiem myśliwskim – szczescie.

Wracalem swego czasu do domu gajowego po nocnej zasiadce na wilka. Noc bogata byla w mieszanke ciekawych wrazen, jednak wilk, na którego czekalem wyczul – niestety – moje pragnienie. Tak jak przez dni ostatnie bral systematycznie wylozona padline, tak tej nocy nie odczul glodu, zas mój głód myśliwskiej przygody poglebial sie coraz bardziej ... Szedlem wolno kolo duzej, gestej kepy polozonej tuz nad rzeczką. Las bieszczadzki milczal tego pogodnego, zimnego poranka, a dzielaca go struga szeptala mu swe zwierzenia z godzin ostatniej nocy. Idac wolno sciezyna w pewnym momencie zauwazylem wilcze tropy, a raczej slady zerowania. Schylony ku ziemi czytalem kierunek ich przeprowadzki i czas wilczych zmagán. Wychodzac zza kepy stanalem na suchej w tym miejscu sciezce, gdzie trop zanikal. Z prawej strony dlugi, dwustumetrowy stok pokryty spalona przez slonce trawa, pociety starymi i nowymi trasami wiodacymi do rzeczki ... Warto by tu kiedys poczekac – pomyslalem.

Rozwazajac o sniadaniu i o ewentualnych, dwóch godzinach spania – ruszyłem w droge, rozstajac sie chwilowo z myslami o wilku. Po drugim, moze trzecim kroku stanalem jak wryty. Z drugiej strony kepy zobaczyłem ogromnego wilka! Dzielil nas dystans pieciu, moze szesciu metrów. Wilk natychmiast sie zatrzymal bedac – równie jak ja – zaskoczony. Stanal na tylnych lapach, otworzyl paszcze wydajac jakis krótki dzwiek podobny do skowytu. Bezwiednie sztucer (kal. 223) znalazl sie w pozycji poziomej, a tego, w jaki sposób nabój trafil do komory, nie wiem po dzis dzien. Po chwili wilk opadl, postawil krok i przywarowal dajac mi czas na uniesienie sztucera. Trwalo to dwie, moze trzy sekundy – w tak krótkim czasie znalezienie go w lunecie bylo niemozliwe. Wkrótce, niczym z procy, poszedl po stoku zanurzajac sie w gaszczu. Gesia skórka oblala mi rece, a samokrytyka eksplodowala niespodziewanie. Dlaczego nie strzelilem po lufie? Siedem metrów to zaden dystans ...

Nocne czuwanie na ocieplanej ambonie sprawilo, ze styl zółwia stal mi sie bliski. Zarzucilem sztucer na ramie i ruszyłem w dwukilometrowa droge do lesniczówki. Stawiajac drugi, moze trzeci krok jak grom z jasnego nieba spadl przed moje oczy nieprawdopodobny obraz. Na odleglosci dziesieciu metrów z mojej lewej strony wysunal sie zza kepy ... kolejny wilk!!! Zrobil dokladnie to samo, co jego poprzednik. Uchodzac po stoku (okolo 120 metrów) zatrzymal sie jednak przed gaszczem. Odwrócił sie w moja strone i stanal w bezruchu. Jeszcze w czasie jego ucieczki zdazylem rozlozyc podpórke ksztaltem litery „A”. Szukalem go w lunecie doslownie sekunde. W pewnym momencie zwatpilem. Widze dwa wilki!!! Kiedys juz mi sie to przytrafilo – patrzac na kozla w majowy wieczór, w lornetce zobaczyłem dwa. Wówczas lornetka – drugiej jakosci – pokazywala dwa obrazy, po wczesniejszym chyba upadku i przemieszczeniu sie szkieł. Tym razem bylo jednak inaczej. Ten pierwszy wilk – wiekszy – wysunal sie z zarosli na spotkanie z bedacym w opalach kolega ... Oba wilki zachowywaly sie bardzo nerwowo, byly bowiem zaskoczone naglym i bliskim zetknieciem ze mna. Nie zastanawiajac sie pociagnalem za spust. Wilk padl jak razonny piorunem. Jego towarzysz odskoczyl na pare metrów sledzac bez przerwy piszacego testament czlonka rodziny. Automatycznie przeladowalem i pociagnalem za spust po raz drugi! Wilk stanal na tylnych lapach i bezmyslnie zczal biec dlugimi susami ... w moim kierunku . Na półmetku odbil w prawo. W obawie, iz moge go stracic strzelilem po raz trzeci. W kark. Padl martwy! Koniec dwóch morderców – stwierdzilem. Wielokrotnie w swym zyciu zabijaly kogo dopadly. Rozdzieraly, targaly, dusily. Robily to nie tylko z glodu, ale z chytrosci, glupoty czy morderczej pasji. Tamtego dnia nadszedl ich koniec. Basior wazyl 52 kg, wadera okolo 40 kg.

Wspomniec tez musze o innym zdarzeniu, które potwierdza slusznosc twierdzenia: „nie ma tego zlego, co by na dobre nie wyszlo” lub tez „co sie zle zaczyna – dobrze sie konczy”.

Wykładaliśmy karmę dla dzików w postaci ziemniaków i kukurydzy w miejscu, gdzie widziano szesc, innym razem dziesięć dużych dzików. Pomyślałem, że jeśli wykładac dzikom to i o wilku należy pomyśleć. Padline łatwo było wówczas zdobyć, np. z PGR-u czy też od rolników. W tym przypadku wyłożyłem padla jalówkę zdobyta od hodowcy za pięć flaszek czystej. Mówiac dokładniej to nie za zdechlaka, ale jego transport do lasu. Tydzień później pojechałem sprawdzić co się dzieje w lowisku, biorąc do bagażnika po jednym worku palonych na ognisku ziemniaków i kukurydzy (30 kg). Zdumienie moje było ogromne. Poza zbuchtowanym terenem nie pozostało nic. Leżała jedynie poszarpana jalówka, przemieszczona o parę metrów – ubytek w granicach 30 proc. Wysypałem zawartość bagażnika i stwierdziłem definitywnie, że na jutrzejszą nocke czas rezerwuje. Przypomniałem sobie, że drabina na stara, stojąca obok ambony była uszkodzona. Podszedłem bliżej i stwierdziłem, że w podłodze ambony są duże dziury i nie będzie jak stanac. Uszkodzenie było świeże, celowe ... Na stojąca obok sosne założyłem wiec (na wysokości około siedmiu metrów) przenośna zwyczaj, w 90 proc. podobna do tej, która mam w Chicago.

Cały następny ranek zadawałem sobie dwa pytania: czy pogoda będzie nadal tak piękna i czy św. Hubert da mi zajrzeć do lowiska? Zabierając ze sobą ocieplany kombinezon, termos z herbata i bron ruszyłem po południu do lasu - świadom tego, że czeka mnie godzina jazdy. Gdy opuszczałem rodzinna miejscowosc czerwona tarcza słońca wystawała jeszcze zza horyzontu, a na niebie niesmiało pojawiały się blade jeszcze gwiazdki. Podróż wypełniona była myślami o tym, co czeka mnie dzisiejszej grudniowej nocy. Gdy znalazłem się w lowisku panowała noc. Pełny już prawie księżyc świecił ostrym blaskiem pomógł mi znaleźć drogę do ambonki (około 300 metrów), a następnie wdrapać się na nią po zamontowanych wczoraj metalowych hakach. Siedzę ubrany w grubą kombinezon, czapkę, rękawice i mimo tylko 2°C jest mi ciepło. Na pewno temperatura w nocy obniży się do 3 może 4°C poniżej zera, ale bywały czasy gdy siedziałem nocami przy temperaturze ujemnej 20-25°C!!! Dzisiaj pięciocentymetrowa pokrywa śnieżna, pełnia i lekki mroźnik dawały mi optymalne warunki do polowania. Błądząc myślami wspominałem swego pierwszego dzika. Pamiętam skąd przyszedł i że był najmniejszy w bandzie. Byłem wtedy jednym z najszczęśliwszych ludzi – to był początek mojego nalogu. Ten moment zapadł na długo w mojej pamięci.

W pewnym momencie zauważyłem duży obiekt przesuwający się powoli w moją stronę. Lornetka pomogła mi stwierdzić, iż jest to ogromny odyniec... Poczekam jeszcze chwile, lepiej dać mu szansę się zbliżyć. Nerwowe napięcie działało niepodzielnie. Mam go na 100 m. „Juz czas ! ...Nie, poczekaj!” - sam z sobą rozmawiam. Dzik zbliża się do kartofli i w pewnym momencie staje w bezruchu patrząc w moją stronę. Szescdziesiąt metrów. Strzał spod pachy pewny. Pozornie zrobiło mi się gorąco, tetno podskoczyło - w rzeczywistości byłem zmarznięty, a ręce miałem bezwładne. Sztucer oparty o metalowe widelki, przymocowane do stopnia, gotowy był do strzału. Ciagnąć za spust zapomniałem o zimnie i sztywnych z bezruchu palcach. Słychać było ogromny trzask iglicy, który - niczym armata - spłoszył odynca. Niewypal - pierwszy w mojej myśliwskiej praktyce. Gdy zarepetowałem dzik był już w zaroślach, po drugiej stronie polany. Nerwy szarpały mna niepodzielnie. Na tysiące strzałów do tarczy, gawronów, zajęcy, lisów - akurat teraz musiało się to stac!!! - pomyślałem. Żółty księżyc, który toczył się po niebie zaglądał mi w oczy perswadując, że przytafic się to może każdemu...

Rodziło się pytanie: „Co teraz robic?” Spojrzałem na zegarek - była 1:30. Siedzę - może wróci? Od czasu do czasu widac kuny krecące się w okolo. Zapadłem w rozważania po raz kolejny. O czym myślałem? - dzisiaj nie pamiętam. Rozmyślania przerwał zauważony katem oka ruch. Przyłożyłem lornetkę i w odległości 150 m zobaczyłem lisa. Przystawiam bron do oka i czekam. Serce bije mocniej, szybciej, a lis już jest na odległość strzału. I tu bierze górę rozsadek... Przecież czekam na dzika lub wilka... Lisów mam już ponad trzydziestu na rozkładzie... Pada decyzja: daruję mu życie! Lis podchodzi do padliny i nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi skubie ją, szarpie. W pewnym momencie, po dziesięciominutowych zmaganiach, niczym strzala zaczyna mknąć w moją stronę, by w końcu zniknąć za moimi plecami. Cóż się mogło stac? Przecież gdyby mnie zwietrył

poniosłoby go w drugą stronę! Jest 4 nad ranem. Wstałem z siedzenia by rozprostować kości. Wyjąłem sznurek, bo za godzinę muszę spuścić sztucer na ziemię. Na stojąco wypilem kubek gorącej herbaty, który dodał mi chęci do czekania. Jeszcze nie zdążyłem założyć kubka na termos, a tu - z mojej lewej, może z 200 m - widzę zbliżające się trzy wilki! Nie spuszczać z nich wzroku odkładam kubek, biorę sztucer i bardzo spokojnie - chyba przez „godzinę” - osuwam się na siedzenie po to, by użyć podpórki i przyjąć korzystną do strzału pozycję. Serce podchodzi mi do gardła, ręce się trzęsą, cały dygoce! Za tą trójką widzę następne trzy wilczyśka. Cała szóstka zbliża się do neciska. Tu rozpoczyna się walka - ataki, charkot, skowyt i wzajemne przeganianie. Zaznacza się prawo rodzinnej hierarchii. Pierwszy jest basior, a za nim reszta zgrai. Mam w krzyżu basiora. Ciarki przechodzą mi po plecach, a palec wskazujący u prawej dłoni kurczy się, zgina. Pada strzał. Echo rozeszło się na wszystkie strony, odbijało się długo od gór, by przejść z czasem w cichnący grom. Gruby, żalony głos basiora zęgnął uchodzącą w popłochu zgraję, cichł powoli tak jak i cichł szum lamanych gałęzi i szumiącego śniegu. Pomyslałem o gorącej herbacie, na nowo widząc basiora żywota minuty ostatnie. Z prymitywnej warowni schodziłem wolno, po dziesięciu minutach demontując zwyczajnie i wyjmując metalowe haki... Poproszę człowieka ze wsi by wyremontował uszkodzoną ambone. Dla niego to dobra fucha, a dla mnie inne, wygodne warunki zasiadki - pomyslałem, mając ewentualnie w planie zapolować na dzisiejszego szczęściarza. Podnosząc basiora z dumą pomyslałem, iż niewielu myśliwych zaznaje takich właśnie chwil...

Teraz można tylko pomarzyć o takich polowaniach na wilka. Były Prezydent RP Lech Wałęsa szybko uległ prośbom francuskiemu symbolowi seksu - Brigitte Bardot obejmując wilki zakazem polowania, który to zakaz trwa w Polsce po dziś dzień (z małymi wyjątkami). Przyglądając się myśliwym w Polsce stwierdzić muszę - niestety z dużą przykrością - iż takie cechy jak: miłość do myślistwa, pełne oddanie się myśliwskiej pasji, bezinteresowność, poświęcenie dotyczą 5 - 10 proc. członków PZL. Jak podchodzi do tego tematu myśliwi w USA wiemy wszyscy... Myślistwo w Polsce i tutaj to tak jak dwie strony medalu.

A skoro mowa o „prawdziwych myśliwych” czytam z taśmy pamięci nazwiska: Wojtowicz, Słaby, Burnagiel, Malczak z Nowego Sacza, Lesiak, Tulik z Pilzna, Jagoda, Dyląg, Przybyłowicz, Knapik z Gorlic, Skocz z Jasła, Famielec z Rymanowa, Paszkiewicz z Baligrodu, Wojciechowski, Zając, Kazmierczak z Lutowisk, Ks. Kuron z okolic Namysłowa oraz Witold Kwas (Jawor/Berlingówka - Bieszczady), z którym przyjazn należałoby opisać w odrębnej księdze. Odrębnym tematem jest również myśliwska pasja kolegi Leszka Mikowskiego z Gorlic.

Tutaj, w Chicago są też prawdziwi myśliwi z długim stażem w PZL: Zbigniew Kosć z Tomaszowa Lubelskiego, Czesław Kłysz z Jasła, Józef Szpiech z Ujanowic k/Sacza, Bogdan i Tomasz Hart z Wysokiej Strzyżowskiej, czy Kazimierz Dyląg z Lipinek k/Gorlic. Przyjazniłem się też z innym, bardzo dobrze znanym każdemu myśliwym z okolic Jasła. Tak jak dał mi wiele instrukcji myśliwskich, wskazówek gdzie i jak polować, tak i prosił zawsze, by przyjazn naszą trzymać w dyskrekcji. Spotykał się on bowiem z czerwoną burżuazją - ludźmi kształconymi w szkołach podstawowych, a następnie awansem na letnich wiejskich uniwersytetach Marksizmu i Leninizmu, z aktywnymi członkami PZPR i SB, a ci nie chcieli się dzielić wrażeniami z młodym studentem z antykomunistycznej rodziny! Teraz, gdy odszedł mógłbym wiele dobrego o nim pisać, zwłaszcza, że był wzorem myśliwego godnym naśladowania. Skoro mowa o tych, którzy odeszli w Krainę Wiecznych Łowów to jeszcze jedno nazwisko: Sp. Aleksander Stepniowski z Nowego Sacza. Myśliwy z krwi i kości. Wzorowy myśliwy, profesor i przyjaciel. Niech bór im szumi, a nas żyjących niech ma w swej opiece i trosce.

Darz Bór

Roman S. Hajduk